Nr. 65. Lwów — Niedziela dnia 19 Marca. Rok 1893.

Wychodzi w dni powszednie o godz. 4. po południu.

Cena prenumeraty we Lwowie:
Bez dostawy miesięcznie 75 ct.
Z dostawą do domu „ 1 złr.

Prenumeratę miejscową przyjmują: Biuro dzienników ul. Karola Ludwika l. 9, Trafika przy ul. Karola Ludwika l. 5, ...

Numer kosztuje 4 ct.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Cena prenum. na prowincyi: Miesięcznie złr. 1.10 | Półrocznie ... Kwartalnie „ 3 „ | Rocznie ... Za zmianę adresu opłaca się 20 ct. Do przesyłanej w kopertach pieniężnych należy dodać waż 5 ct.

CENA OGŁOSZEŃ

Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo drukiem petitowym po . . . 1 „
zaś tłustym garmondem po . . . 4 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . 4 „

Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 15 ct.
Reklamy . . . 25 „
Nekrologia . . . [illegible] „
Ogłoszenia do „Przeglądu“ przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika Nr. 9.

Dziś: A. 5 Czarna Józ. O. N. 4 Post. | Jutro: św. Joachima K. Fteotylakta Pr.

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.

Wschód słońca g. 6 m. 13 | Zachód „ 6 „ 3

Długość dnia g. 11 m. 50 | Przybyło dnia od wczoraj 5 m.

Z powodu kończącego się kwartału upraszamy o wczesne odnowienie prenumeraty. Wynosi ona na prowincyi (z przesyłką pocztową):
kwartalnie 3 zł. — ct.
dwumiesięcznie 2 „ 10 „
miesięcznie 1 „ 10 „
Za zmianę adresu dopłaca się 20 ct. Prenumerata może datować się tylko od 1 i 15 w miesiącu. Z dniem wygaśnięcia prenumeraty ustaje wysyłka pisma.
Administracya „Przeglądu“

Przegląd polityczny.

Lwów 17 marca.

Dziesięć lat temu — kiedy na czele rosyjskiego rządu stał znany szef panslawistów hr. Ignatjew — wydano w caracie długi szereg rozporządzeń antysemickich. Ograniczono liczbę żydów we wszystkich zakładach naukowych, a niektóre całkiem przed nimi zamknięto; odebrano im apteki i prawo pracowania na roli gdziekolwiekbądź, oprócz Królestwa Polskiego; usunięto ich z rosyjskich gubernii, z miast Moskwy i Petersburga, utworzono dla nich „pas wolnego zamieszkiwania“, t. j. stłoczono wszystkich w ziemiach polskich, ale i tu jeszcze zrobiono ten wyjątek, że nigdzie nad granicą, w 50-kilometrowej odległości od niej, żydzi nie mają prawa mieszkać, ani handlować. Ten ostatni przepis kazano wykonać powoli, wysiedlając co roku pewną część nadgranicznych żydów do okolic, położonych dalej w głąb kraju. Konieczność tego środka motywowano tem, że żyd, jako człowiek obcy, pozbawiony uczucia obywatelskiego i patryotyzmu, przesyła za granicę wszelkie wiadomości, których zachowanie w tajemnicy leży w interesie Rosyi; że każdy z nich za pieniądze będzie podpatrywał rozkład granicznych wojsk, a prowadząc handel, ciągle ją przekracza. Żyją oni w ustawicznym strachu, jak mysz na pudle, w zależności od humoru ziemskich strażników, stanowych i sprawników, cały swój mózg wysilają w tym kierunku, aby działając na przywary i namiętności czynowników, zapewnić sobie chwilowy spokój; do ostateczności upadlają się sami, ale upadlają i wszystkich dokoła, a w rezultacie cel rozporządzenia nie jest osiągnięty.

Więc teraz odwołano ten przepis. Uczyniono to nie z litości nad żydami, ani przez wzgląd na szerzącą się demoralizacyę wśród nadgranicznego czynownictwa, lecz z finansowej potrzeby. Międzynarodowy kapitał okrutnie mścił się na Rosyi za jej antysemicką politykę. Każdemu wiadomo, że od lat kilku carat nie może ani centa pożyczyć za granicą, a ktoś obliczył, ile milionów straciła Rosya przez to, że giełdy, ilekroć mogły bez własnej straty, obniżały kurs rubla. Co haraczu zdarli z żydów czynownicy, to może dziesięćkrotnie wydarły giełdy caratowi. Szowinistów rosyjskich nic to nie obchodziło, oni otwarcie głosili, że dla uwolnienia się od żydów warto ponieść największe ofiary. Ale gdy tekę finansów objął p. Witte, a były minister domenów p. Ostrowskij stanął na czele departamentu kodyfikacyjnego, inny prąd powiał w radzie ministrów. Prezes jej, znany ekonomista Bunge wystąpił z memoryałem, w którym dowodził, że ustawy antysemickie wprawdzie bardzo zaszkodziły żydom, ale kto wie, czy nie więcej samej Rosyi, korzyści zaś żadnej nie przyniosły. Witte i Ostrowskij stanęli po stronie Bungego. Rozesłano tedy cyrkularz do wszystkich jeneralnych i cywilnych gubernatorów w Polsce, na Litwie i na Rusi z zapytaniem jaki wpływ pod każdym względem wywierają antysemickie ustawy i co dalej należy czynić. Z wyjątkiem mińskiego gubernatora księcia Trubeckiego odpowiedzieli wszyscy: gnębić aż do skutku! Pomimo tego Bunge, Ostrowskij i Witte postawili na swojem o tyle, że odwołano rozporządzenie o pasie nadgranicznym wolnym od żydów. Ale w skutek tego nastąpiło rozdwojenie w rządzie. Minister wojny pokazał swą samodzielność w ten sposób, że kazał wypędzić tych żydów, bardzo nielicznych, którzy przed kilkudziesięciu laty osiedlili się na ziemiach kozaków dońskich, uralskich i orenburskich, służyli wojskowo, jak ci kozacy, i sami tak zupełnie się skozaczyli, że nikt w nich nie znalazłby nic żydowskiego, oprócz religii. Jednocześnie zaś, naciskana przez panslawistów, żydowska komisya, obradująca pod prezydencyą senatora Plewhego, przyśpieszyła swe prace, których celem, skodyfikowanie wszystkich rozporządzeń antysemickich. Tak więc na tym punkcie rozprzęgła się solidarność carskiego rządu.

We czwartek komisya wojskowa niemieckiego parlamentu rozpoczęła drugie czytanie militarnego projektu, przyczem odrazu się pokazało, że korzystny dla tego projektu zwrot w opinii publicznej oddziałał na członków komisyi. Wódz liberałów Bennigsen zaproponował wzmocnienie armii o 42 tysiące żołnierzy, postępowcy zgodzili się powiększyć ją o 26.700 szeregowców, a tylko centrum nie daje nic szeregowców, za to przyznaje powiększenie liczby podoficerów i w zamian żąda dwuletniej służby w piechocie, zaś trzyletniej w kawaleryi i artyleryi. Caprivi uznał, że projekt Bennigsena jest przynajmniej możliwy do dyskusyi, ale dodał, iż rząd nic nie ustąpi, bo powiększenie armii o 72 tysiące żołnierzy, tak, aby wojsko stojące pod bronią liczyło 492.000, jest konieczne dla utrzymania pokoju. Rząd odrazu zażądał mininum, więc nic ustąpić nie może.

Istnieje tedy ciągle prawdopodobieństwo rozwiązania parlamentu, czego liberałowie i postępowcy się obawiają, jak to widać z ich ustępstw.

Mówią w Berlinie, że cesarz Wilhelm wkrótce wyda proklamacyę do narodu, zalecając przyjęcie militarnego projektu. Trudno uwierzyć, aby cesarz zdecydował się na taki występ, bo gdyby on się nie powiódł, to jakże przykre byłoby położenie cesarza.

KORESPONDENCYE.

Wiedeń 14 marca

(Z sezonu koncertowego.)

Pieśń stara kona! Ostatnie jej echa drżą jeszcze po zapadłych kątach Europy u ludu i ciszej i ciszej dolatują do ucha wybrednych na wielkie sensacye, na rozległe skale czekających słuchaczy. Flet prosty idzie w zapomnienie, waltornia nudzi, harfa jest romantyczną, skrzypce instrumentem popisu wirtuozów, wiolonczela nie śpiewa już męskim głosem piersi wzburzonej namiętnością, a imponującej na zewnątrz spokojem — tam-tam chyba i bęben i trąby zachowały dawny swój charakter, a wszystko razem, a cała orkiestra, jedno tylko ma zadanie: rozdzielenia między siebie tak przedmiotu muzykalnego, aby każdy instrument był tylko nic nieznaczącą jednostką w rozumnym rachunku kompozytora — rachunku, który ochrzczono harmonizacyą i instrumentacyą. Stara pieśń prosta, wielka, z serca płynąca i trafiająca do serc, kona. Nie masz improwizacyi i nie masz natchnienia! Nie wierzymy w te stare wylewy uczucia, jak nie wierzymy w fantazyę w poezyi, w piękno kształtów w malarstwie. Zawistny szatański duch epoki, drwiący z wszelkich praw wybitnej indywidualności, położył swoje piętno negacyi i na najsubtelniejszej sztuce, na sztuce najmniej rozumowej, najmniej mającej styczności z prądami społecznemi, a przecież najgłębiej ludzkiej, bo płynącej z najtajniejszych otchłani duszy. I muzykę także zdemokratyzowano!

Żyjemy w czasie żądającym skomplikowanych wrażeń. Jak w państwie dominuje idea pociągnięcia do udziału najszerszych warstw społeczeństwa, jak w umiejętności zapanował chorobliwy niemal prąd obserwacyi drobiazgowych, studyów źródłowych, zabijający nieraz dążność dochodzenia do wyników stałych, jak w poezyi robi się formalne wiwisekcye człowieka i przyrody i protokoły domu obłąkanych albo biur sędziego śledczego podaje się za psychologiczny romans, za dramat naturalistyczny, za lirykę niekłamaną duszy, jak w malarstwie za koloryt wychwala się możliwie jaskrawe oddanie barw w przyrodzie bez względu na ideę dzieła na ugrupowanie — tak i w muzyce dąży się do nagromadzenia wrażeń, do działania wszystkiemi instrumentami bez względu na to, czy są potrzebne, czy nie do naśladownictwa ślepego głosów przyrody i człowieka. I to się podoba. Sieje się wiatr — w instrumentach i zbiera się burze — oklasków w parkiecie. Jak długo ten kierunek potrwa, trudno przewidzieć. Ale zdaje się, że fala umysłów zadowolnionych niezgrabnemi kopiami życia już się przewalać zaczyna. Nieraz myślę, słysząc te huki bezduszne orkiestry, powtarzania bez końca i wysnuwania motywów przez wszystkie instrumenta, coby też powiedział Mozart lub Szubert, gdyby ich ktoś postawił był przed podobną produkcyą. Zapewne nie byliby dość muzykalni, aby ją zrozumieć! Nie zapomnijmy bowiem, że my kształciliśmy się już słysząc od wielu lat linoskoctwa Wagnera, Liszta, Svendsena, Straussa (Ryszarda), Brucknera i innych. Niewątpliwie! Do tej muzyki potrzeba osobnej organizacyi ucha, która wykształca się dopiero z laty.

Ale nie u wszystkich słuchaczy! Dowodem tego próżne sale przy filharmonicznych koncertach z programem nowoczesnym. Wagnera chętniej się chwali niż słucha, a jego naśladowców ani chwalić, ani słuchać nie potrzeba. Jeśli tym naśladowcą jest przynajmniej Wiedeńczyk, jak Bruckner, tedy idą na koncert jego uczniowie, przyjaciele i goście proszeni. Ale któż ma iść na produkcye utworów Wagnera dobrze już znanych — a jeśli nie znanych jeszcze, to z pewnością w obec entuzyazmu, z jakim wszystko wystawiają, rozgłaszają Wagnerianie, nie zasługujących na poznanie, któż ma iść na krzykliwe koncerta profesora paryskiego Laló, lub na karnawały Svendsena?

Uderza w bieżącym sezonie więcej niż kiedykolwiek zasilanie repertuaru koncertowego obcemi utworami muzykalnemi. Czesi, Rosyanie, Francuzi, Szwedzi i nowsi muzycy włoscy składają się na kwartety Rosego, na koncerta filharmoniczne i na produkcye wirtuozów. O Czechach pisałem już dawniej. Francuzi grzeszą tak samo przesadą w naśladowaniu Berlioza, jak niemieccy muzycy wszelką twórczość zatracają, zapatrzeni w swego genialnego Wagnera.

Svendsen jest obok Griega największym muzykiem norweskim. Griega zwą norwezkim Chopinem. Jego melancholia muzykalna i głębokość motywów, które umie w czarujący sposób wiązać ze sobą, porywają słuchacza i zapomnieć mu każą, że czasem zasypia geniusz twórcy. Oprócz koncertu A-moll (na fortepian), który tu w Wiedniu przed dwoma laty grała Teresa Carrenno, znają zwłaszcza jego uwerturę koncertową na orkiestrę „W jesieni“, mającą kilka ustępów dziwnej piękności i przepyszną muzykę do „Piotra Gynta“ poematu dramatycznego Henryka Ibsena. W bieżącym sezonie Grieg nie przypomniał się Wiedeńczykom żadnym większym utworem.

Za to słyszeć można było kilka kompozycyi Svendsena. Svendsen jest znakomitym skrzypkiem — choć nie wirtuozem wędrownym — był też dyrygentem orkiestry i zna dlatego dobrze stronę techniczną sztuki. Jego kompozycye dla instrumentów smyczkowych, jak kwintet (op. 5) odegrany w koncercie Rosego, należą też do najlepszych dzieł norweskiej muzyki. J. Svendsen (równie jak i Grieg) więcej ma talentu do pomysłów wskazanych już przez poprzedników, niż geniuszu prawdziwie twórczego. W kwintecie jest pogodnym i melodyjnym i nigdzie nie używa środków sztucznych dla podniecenia uwagi słuchacza. W nowszych swoich kompozycyach schodzi niestety Svendsen na drogi teraz modne i wysila się na efekta orkiestralne, na hałaśliwe przygłuszające motyw wtóry dętych instrumentów, i tak zadaje gwałt swemu talentowi i swoim wrodzonym skłonnościom.

Z Rosyan na razie — po Nadinie Sławiańskiej i jej chórach narodowych — dał się tu poznać kompozytor Bariański, który urządził koncert z własnych utworów i sam grał na fortepianie. Jego kompozycye nie mają żadnego wybitnego charakteru. Nie są ani narodowe, ani europejskie w znaczeniu przyjętem dziś przez szkoły różne. Nie brak utworom pewnej melodyjności, ale ginie ona w ciągłych waryacyach i powtarzaniach, które przypominają pieśni psalmowe śpiewane przez lud lub gadki żebracze na lirze. Gdyby przynajmniej cecha jakaś lokalna podniosła wartość tej muzyki! Jedyną jej zaletą jest chyba naiwność, której sporo posiadać musi i kompozytor, kiedy się z temi utworami wybrał do Wiednia.

Wśród powodzi wielkich i małych wydarzeń muzykalnych, koncertów Thomsona, pani Albani, Grünfelda, popisów Czechów, Rosyan i Francuzów, koncert p. Władysława Żeleńskiego przeszedł prawie niepostrzeżony. Nie przygotowano publiczności wiedeńskiej, nie pozyskano uwagi kół muzykalnych, naznaczono tylko dzień, w którym się koncert miał odbyć, i podano suchą lakoniczną wiadomość o tem w anonsach gazet i na niedość nawet gęstych plakatach ulic. Że jednak Żeleński Wiedeńczykom wcale był nie znany, przeto mało kto zajmował się koncertem, i publiczność w sali przeważnie była polska. Kompozytor obcy, stający przed nową publicznością, nie może jej zdobyć od razu, i urządzenie koncertu jedynego z góry było błędem. Lepiej było urządzić trzy małe wieczory muzykalne, niż jeden wielki koncert. Muzycy o sławie ustalonej mogą sobie pozwolić na zbytek przedstawienia całego swego charakteru twórczości w jednym koncercie; publiczność musi słuchać, bo wie, że sama tylko straci na swej opieszałości. Inaczej rzecz się ma z kompozytorami, którzy uznanie dopiero zdobywać muszą. Żeleński powinien się wprowadzić w Wiedniu kompozycyami różnemi na fortepian, na instrumenta smyczkowe, chórami i pieśniami wykonywanemi w koncertach obcych, a potem dopiero może stanąć przed wielkiem gronem znawców, umiejących ocenić, bo znających wszechstronnie jego talent.

Koncert w wielkiej sali towarzystwa muzycznego małe zrobił wrażenie. Krytycy tutejsi jak zawsze sprzeczni w swych wymaganiach i sądach jedni stwierdzili, że brak muzykowi charakteru narodowego, drudzy, że owszem ma charakter narodowy w kilku utworach (tańcach) i że te utwory są też najpiękniejsze. Wszyscy są zgodni w tem, że Władysław Żeleński posiada głęboką znajomość sztuki swej i jej środków, że panuje nad formą znakomicie i że gardzi taniemi efektami, zwrotami hałaśliwemi, dyssonansami sztucznemi, które służą nowoczesnym muzykom za wykrzykniki dla zwrócenia na siebie uwagi publiczności. Ale jakkolwiek to przyznają, to przecież właśnie ta skromność prawdziwie artystyczna polskiego muzyka głównym była powodem oziębłości niemieckich słuchaczy. Żeleński dla publiczności wiedeńskiej, przepsutej nowościami jednodniowemi, przedstawia typ „przestarzałego“ muzyka.

Sam program koncertu, choć bardzo rozmaite przynosił utwory, też nie był dość szczęśliwy. Chóry (i to na utwory tak poważne, jak psalm 46) trudno w obcem mieście zestawić, a jeszcze trudniej w krótkim czasie wyćwiczyć. Orkiestra przygłuszała czasami śpiew. Utwory takie jak „Gawot“ i „Polonez“, choć bardzo wdzięczne same przez się, nie mają znaczenia w koncercie, który oddać ma właściwości muzyka przedstawiającego się po raz pierwszy publiczności. Tańce z „Goplany“, uwertura „Z lasu“ i piosnki śpiewane przez pannę Beeth największe znalazły u krytyki uznanie, a przedewszystkiem pieśni do słów Zaleskiego i Mickiewicza. Widać stąd, jak wiele zależy od wykonania, bo choć panna Beeth wcale nie była w stanie oddać całej myśli i słów i muzyki, to przecież jej śpiew o wiele więcej odpowiedzieć mógł intencyom kompozytora, niż chór w psalmie. Arya Halbana mniejsze zrobiła wrażenie. Zdaje się, że dramatyczny talent Żeleńskiego nie stoi na równi z jego talentem opisowym, którego świetną próbę w „uwerturze“ podziwiano powszechnie. Gdyby polscy muzycy częściej starali się przypominać wiedeńskiej publiczności i zaznajamiać ją ze swemi utworami, nie mogłoby to zostać bez wpływu na niedojrzałe i pełne uprzedzeń wyobrażenia, jakie się tu w stolicy błąkają.

O kompozycyach nie ma co więcej pisać, za to bardzo wiele możnaby donosić o wirtuozach. Był tu już i Sarasate i Berta Marks, Alicya Barbi i pani Albani, popisywał się starej sławy salonowej Alfred Grünfeld i Stavenhagen, Eugeniusz Gura i Thomson. O wszystkich tych rozpisywać się, albo choć kilku słowami skreślić indywidualność każdego z wirtuozów jest nie podobna! Thomsona słyszano we Lwowie; Alicyę Barbi też! O pani Barbi zapisać chyba wypada, że głos jej bardziej jeszcze zestarzał się i że mnie przynajmniej żadna umiejętność wykładu, żadna głębokość zrozumienia muzyki śpiewanej nie wynagrodzi świeżości głosu. Program jej koncertu jak zawsze doborowy, obejmywał pieśni Schumana, Schubertha i Brahmsa. W ogóle koncerty śpiewaków i śpiewaczek są jedynym dziś środkiem przed zupełnem wyjałowieniem muzyki, przypominają bowiem najdosadniej słuchaczom i krytykom i kompozytorom, że i pieśń, że głos ludzki ma swoje prawa. Z innych koncertów na uwagę zasługują zwłaszcza występy pani Albani i Gury. Pani Albani urodzona w Kanadzie i wykształcona metodą włoską jest najznakomitszą dziś śpiewaczką angielską równie wielką na scenie, jak w sali koncertowej. Koloraturę jej i rodzaj wykładu porównywują z Adeliną Patti i innemi pierwszego rzędu śpiewaczkami. Niestety przyjechała do Wiednia trochę za późno i usłyszeć dziś można tylko *les beaux restes* jej głosu. W Berlinie zachwycano się nią przed kilku jeszcze laty, kiedy występywała w operach Wagnera (jako Elsa).

Dziś podziwiać można tylko spokój, pewność, szkołę, rutynę i tu i owdzie jakieś błyśnięcie przysypanego pyłem czasu słowiczego głosu, który jednak przycicha, smutne tylko zostawiając wrażenie wielkich strat, i minionych czarów.

I tak samo wypadałoby określić koncerta Gury, Sarasatego i innych. Wielkich wirtuozów europejskiego znaczenia coraz mniej! A starzy mocno tracą na sile i na zdolności porywania słuchaczów. Gura był kiedyś uczniem akademii sztuk pięknych, miał się poświęcić malarstwu i wielką rokowano mu przyszłość.

W Monachium przy jakimś festynie artystów-malarzy, śpiewał jako dyletant i odkryto w nim głos: porzucił tedy paletę i poszedł do szkoły śpiewu. Potem dostał się do bawarskiej opery nadwornej i 20 lat z górą śpiewa po koncertach po całych Niemczech. Jest to pierwszorzędny artysta dramatyczny. Brak głosowi jego miękkości i łagodności, ale niezrównany jest w śpiewie namiętnym, a w wykładzie ballad Loewego (do słów Goethego, podań ludowych), nie ma sobie równego. Jego ballada szkocka o Edwardzie (którą Słowacki w „Ma-

---

2)

WSPOMNIENIA

Z PODRÓŻY DO AUSTRALII

przez

ROMANA UJEJSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

W poranku cudownym, ciepłym, w różowem świetle włoskiego słońca, po morzu jak jezioro błękitnem i gładkiem, płynęliśmy wśród wysp Liparyjskich. Na lewo wyrastał jak stożek wprost z morza, obłokiem dymu przykryty „Stromboli. — Chat kilka rybaków i tutaj przyjgnęło. Dziwna naturo ludzka! — Pniesz się do życia nawet po wulkanie, nad tonią morską....

Z południowej strony widać już było Sycylię z wyniosłym szczytem Etny.

Wpłynęliśmy niebawem w cieśninę Mesyńską. Bieg statku był szybki, tośmy tylko jak panoramie przyjrzeli się: po prawej stronie prześlicznie rozłożonej Messynie; po lewej — willom rozsianym, winnicom, ogrodom oliwnym, pomarańczowym lasom, miasteczku Reggio; na ostatniej kończynie Europy pokłonił się nam trójbarwną flagą strażnik z semafory jakby w przeprosiny za srogą postawę „buta włoskiego“, względem przepływających w tem miejscu okrętów.

Przybyło nam trzech towarzyszy przelatujących cieśninę Messyńską: dwa szczygły i wróbel. Siadły na chwilę spoczynku na masztach i pewnie pomimo woli, na zawsze opuszczą swe strony rodzinne.

Pod wieczór już, z gór włoskich pas siny pozostał — i ten znikł prędko; a tak dopiero za dwie doby powita nas ląd nowy.

Przygrzewać zaczyna na dobre. Na pokładach zaciągają z pospiechem dachy płócienne, przygotowując się do słońca afrykańskiego.

Ze wschodu gwiazda pierwsza zabłysła; a na północy, nad niewidzianą już przez nas Europą, mgły jakieś osiadły.

Nazajutrz jasny, siwo zielonawy kolor morza, o najgładszej powierzchni dziwny jakiś efekt sprawiał, gęstej, stygnącej masy.

Puściłem się w podróż po statku naszym. Gmach to olbrzymi, długości 162 metrów — wysokości dwupiątrowej naszej kamienicy; w tylnej części będąc na pokładach, nie przypuszcza się nawet, jakie tam na przodzie wre życie — co za zgiełk, krzyk i ruch bezustanny. Nietylko, że tam gromadzi się cała załoga z najrozmaitszych odcieni skór złożona — w liczbie około 200 ludzi, — lecz wojsko płynące do Nowej Kaledonii i duży zastęp podróżnych 3 i 4tej klasy. Tam to słychać zgrzyt maszyn, warstatów, kuźni — tam, dzień i noc maszyny ciągną węgiel do kotłów z głębin okrętu, a znów popioły żarzące z kotłów na pokład wydobywają i w morze rzucają — tam również znajdujemy krowy na mleko dla dzieci i chorych, woły, cielęta, barany, drób wszelkich gatunków, gołębie — wszystko to na setki policzyćby można.

Ponad tem wszystkiem — nad całym pokładem przednim i tylnym panuje „przekładka“ gdzie dzień i noc oficerowie, co cztery godziny zmieniani, pełnią swą służbę. Na takim statku sternik jest niczem; a każdy ruch kołem sterowem zależy od oficera służbę pełniącego.

Przy „przekładce“ jest mały pokoik oszklony, aby w razie burzy wielkiej, gdy fale biją na pokład cały, kierujący sterem mógł swobodnie działać. Tam także znajdują się mapy morskie, kompasy, przyrządy wszelkie jak sekstanty, któremi oficerowie codzień w południe oznaczają zapomocą wysokości słońca punkt, gdzie się statek w tej chwili znajduje na pełnem morzu; termometry, lunety dzienne i nocne, i t. p.

Oprowadzony przez znajomego oficera chciałem i maszyny zwiedzić — lecz było już, jak mi mówił, za późno; gdyż tylko przy chłodnem powietrzu możliwem jest zwiedzanie tego piekła we wnętrzu panującego — więc albo zaraz po odpłynięciu z Marsylii, lub aż na południowym Oceanie, przy brzegach Australii.

Słońce południa i ciepły powiew od puszcz afrykańskich podnoszą tam temperaturę znacznie, tak, że dla nieprzyzwyczajonych mogłoby to być nawet niebezpiecznem.

Opowiadał mi, że gdy się przepływa w lecie przez Morze Czerwone termometr wskazuje przy kotłach parowych 54° i żaden Europejczyk nie zniósłby takiej temperatury. Mają więc wszystkie statki przepływające na wschód, palaczy afrykańskich z Adenu, którzy jedni, służbę tam pełnić są w stanie.

Teraz, i nam słońce dokuczało; gdyby nie dachy płócienne podwójne, byłoby nieznośnie gorąco, a tak niedawno marzliśmy jeszcze przy brzegach Francyi.

Pod wieczór, z daleka na horyzoncie okazała się z poszarpanemi gór konturami Kandya, ale do niej nie zbliżamy się — więc po chwili zasunęły ją mgły wieczorne. Mijamy zaś z bliska malutką, pustą całkiem, skalistą wysepkę Gozzo, z latarnią morską. Noc szybko zapada — na ciemnem tle nieba gwiazdy się iskrzą, choć nie ma już wszystkich towarzyszek z kraju.

Następny dzień, to już ostatni na morzu Śródziemnem. Tak samo on pogodny, cichy jak poprzednie, orzeźwia nas jeszcze powiew od wody. Spotykamy już często mijające statki; tu bowiem schodzić się zaczynają linie morskie, wszystkich okrętów do kanału Suezkiego dążących. Spotykamy i małe żaglowe, prowadzące handel pobrzeżny z Grecyą, Egiptem i Syryą.

Szczygieł i wróbel, towarzysze nasi z cieśniny Messyńskiej, mają się doskonale. Na śniadanie i obiad podlatują naprzód statku, żywiąc się przy drobiu i stajniach bydła. Resztę dnia i noc spędzają w klasie Iej, gdzie cicho i spokojnie. Wszyscy podróżni znają już je i śledzą uważnie ich ruchy.

Ściślejsze kółka towarzyskie formują się. Tworzą partye do wista i gier innych. Zabawiamy się w powszechną na statkach grę „palet a bull“, po angielsku nazwaną, gdzie gra polega na trafnem rzucaniu krążków gutaperchowych do numerów, popisanych na blacie drewnianym. Rzecz dla nowicyusza trudna dosyć, ale zabawna i dobra dla ruchu przy życiu spokojnem, jakie się pędzi w podróży morskiej.

Zaczyna się gorączkowe pisanie listów po wszystkich salonach i stołach. Każdy do swoich relacyę zdaje z przebiegu dni pierwszych podróży. Na pokład przyniesiono dużą skrzynkę na listy, ze stosowną instrukcyą.

Urzędnik z poczty, płynący z nami, zaczyna się krzątać, bo dotąd prócz sztuką kulinarną, niczem się nie trudnił.

Całe już prawie towarzystwo zna się, wyjąwszy sztywnego kółka Anglików, czy zpanoszonych Australczyków i kreolskich rodzin z kolonii francuskiej „Reunion“, z którymi nikt jakoś nie zawiera stosunków bliższych.

Płyniemy 18 mil morskich na godzinę, a że mamy świadomość szybkiego biegu, godziny i dnie krótszemi się zdają.

Zmrok już zapada, a wkrótce potem zupełna ciemność — to cecha południowa.

Na prawo jak gwiazda duża, miga swem peryodycznem światłem, latarnia Damietty. Równamy się z nią, za sobą pozostawiamy, a na przodzie spostrzegać się daje latarnia morska z Port-Said. Ciemność ogromna. Gwiazdy odbite w wodzie, nie pozwalają rozróżnić gdzie horyzont morza się kończy a zaczyna niebo; mamy uczucie lecenia w przepaść.

Na przodzie statku puszczono z szumem rakietę — po chwili, z oddali, na czarnem tle, wzniósł się tak samo w górę wąż ognisty; to pilot odpowiedź dawał, że zbliża się do nas.

Zaświeciły czerwone i zielone światła po bokach łodzi — kilka żółtych na maszcie; nasz statek bieg swój zwolnił; spuszczono sznurową drabinkę, i na pokład wskoczył nasz nowy przewodnik.

Na horyzoncie zajaśniała łuna od świateł miasta. Bliższe już się w wodzie odbijały, a morska latarnia rzucała co chwila snopy rażącego blasku.

Coraz bardziej, jak robaczki świętojańskie, migotały różnokolorowe latarki, łodzi przepływających w porcie, remorkierów, to statków na kotwicach stojących.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ryi Stuart" przełożył) jest skończonem arcydziełem dramatycznego przedstawienia. W balladach nie potrzeba delikatności tyle, co siły a i zużyty już po części głos potrafi na tem polu popisów zdobyć głębokiem oddaniem myśli, namiętnem drganiem bolu, rozpaczy, strachu, uznanie i podziw publiczności. Ale w pieśniach lirycznych znać starość śpiewaka!

I Sarasate robił wrażenie człowieka sytego sławą, znużonego powodzeniami a może i gonitwą z miasta do miasta! Program jego koncertu (Saint-Saens, Goldmark, Dworzak) nie najlepiej był ułożony. Tylko tańce Dworzaka zachwycały swoją prostotą i majestatycznie płynącą melodyą.

Zawsze młodym, to znaczy starym jeszcze jak dawniej jest Alfred Grünfeld. Jego koncerta są miejscami zebrania najlepszego towarzystwa. Jest to prawdziwy wirtuoz „w modzie" — szkoda tylko, że i jego efekta są bardzo płytkie i na jeden tylko sezon obliczone. Nie mogę bez zdumienia słyszeć tego wirtuoza, grającego Chopina. Przed dwoma laty przerobił mazurek (jeśli się nie mylę op. 33 nr. 3) w galopadę węgierską, od której uszy zabolały. Teraz grał walec jak Ländlera przy „Kirtagu" pod Wiedniem.

Grünfeld zna swoją publiczność i wie jak i co grać, aby zyskać oklaski i mieć pewność pełnej sali. Przerabia on małe utwory Beethovena, Schumana i Chopina na dyalekt wiedeński, albo węgierski, dobrze tu znany i tę muzykę rzuca na zachwyt swoich słuchaczy.

Jego biegłość jest niezwykła, jego humor wesoły, zdolny oczarować w towarzystwie prywatnem, w którem się sztukę traktuje dla zabawy, ale w sali koncertowej powinienby się artysta tej miary wyrzec maniery i oddawać kompozycye obce w duchu ich twórców.

Ale różne są drogi, które prowadzą do uznania i sławy! *Dr. H.*

KRONIKA.

Lwów 18 Marca.

Dyrekcya Powszechnej Wystawy Krajowej r. 1894 uprasza wszystkie osoby i instytucye, które na *fundusz zakładowy* Wystawy subskrybowały, iżby kwotę subskrybowaną do rąk Dyrekcyi (Lwów, ul. Jagiellońska l. 15) najpóźniej do końca b. m. wypłacić raczyły, nie czekając na osobne wezwania, gdyż takowe utrudniłyby tylko manipulacyę biurową i Dyrekcyą na niepotrzebne kosztaby naraziły.

Uprasza się również wszystkich, którzy własne pawilony prywatne na Wystawie urządzić zamierzają, ażeby z zamiarami swymi jak najrychlej do Dyrekcyi Wystawy zgłosić się raczyli, gdyż najkorzystniejsze rozmieszczenie pawilonów stoi w ścisłym związku z ogólnym planem sytuacyjnym, który już w najbliższym czasie musi być ostatecznie ustalonym.

Dyrektor Wystawy: *Marchwicki.* Sekretarze: *Juliusz Starkel, Jan Kazimierz Zieliński.*

Mianowania. Wydział krajowy zamianował oficyała rachunkowego, p. Józefa Schmidta, adjunktem rachunkowym.

Konkursa. Rady szkolne okręgowe w Gorlicach i Nowym Sączu rozpisały konkurs na kilkanaście posad nauczycielskich.

Ze sfer adwokackich. Dr. Jakób Uiberall wpisany został na listę adwokatów z siedzibą w Rzeszowie.

Egzamin kwalifikacyjny nauczycielski dla szkół ludowych w Przemyślu w terminie marcowym 1893 roku złożyli:

I. Z językiem wykładowym polskim i ruskim: Budziński Piotr, Długosz Mieczysław, Dudczuk Dymitr, Dzigało Michał, Kwiaśniewicz Józef, Michniewicz Aleksander, Swoszowski Franciszek, Zazula Michał. Friedrich Marya, Kwiatkowska Marya, Neuwirth Stef., Opolska Marya, Piechurzanka Janina, Sozańska Marya, Sudzo Zofia (z odznaczeniem), Szustaczyńska Marya.

II. Z językiem wykładowym polskim: Traczyński Wład., Derdelewicz Antonina, Golińska Marya, Golzówna Kamila (z odznaczeniem), Jankowska An., Kozłowska Helena, Lizakówna Aniela, Liszka Lub. Nędzowska Wanda, Popkiewiczówna Wawrzyna (z odznaczeniem), Rzaska Joanna, Sozańska Marya, Zieglerówna Adela.

III. Z językiem wykładowym ruskim: Decker Józef, Melwicki Władysław, Starzewski Mik., Pöllmanówna Adolfina (z odznacz.)

Oprócz tego otrzymali uzdolnienie do uczenia: a) języka ruskiego, jako przedmiotu naukowego w szkołach ludowych: Traczyński Władysław, Polińska Marya, Popkiewiczówna Wawrzyna, Golzówna Kam., Nędzowska Wanda, Rzaska Joanna; b) języka niemieckiego, jako przedmiotu naukowego w szkołach ludowych: Starzewski Mikołaj, Golzówna Kamila, Rzaska Joanna, Wittekówna Sydonia, Zieglerówna Adela.

Rekolekcye wielkopostne odbywać się będą w „Skale" pod przewodnictwem przewiel. księdza S. Adamskiego w dniach 24—25 b. m. o godzinie ósmej wieczorem i 26 bm. w niedzielę przed i po południu.

W senacie Stanów Zjednoczonych północnej Ameryki obrano prezydującym senatora Pratta, Amerykanina, a sekretarzem senatora Kruszkę, Polaka.

Izba inżynierska przeniosła swą siedzibę z ul. Trzeciego Maja na ulicę Leona Sapiehy l. 9.

Wystawa krajowa we Lwowie w r. 1894. Stowarzyszenie lwowskich szynkarzy postanowiło przystąpić z jednym udziałem 250 złr., do urządzić się mającej w r. 1894 wystawy krajowej.

Komitet jubileuszowy zawiązany we Lwowie pod honorowem przewodnictwem księcia Eustachego Sanguszki, marszałka krajowego, przypomina, że na termin ostateczny nadesłania zapełnionych arkuszy adresu do Ojca św. naznaczono dzień 20go marca bież. roku, — zatem zwraca się z prośbą do wszystkich Rad powiatowych i Rad miejskich Galicyi wschodniej o jak najrychlejsze odesłanie przesłanych arkuszy.

We Lwowie będzie można jeszcze 20 i 21 bm. adres podpisywać we wszystkich urzędach parafialnych i w sklepie p. Ignacego Drexlera, syna.

Na dochód „Czytelni Katolickiej" odbędą się w przyszłym tygodniu dwa odczyty p. Dr. Włodzimierza Kozłowskiego, posła do Rady Państwa i Sejmu krajowego. Bliższe szczegóły podane będą w krótkim czasie.

„Lutnia". Za czas od 15 listopada 1891 r. do 15 marca 1893 wydano zostało sprawozdanie lwowskiego Towarzystwa „Lutnia". Sprawozdanie ubolewa nad zawodem jakiego doznali członkowie „Lutni" wskutek odwołania zapowiedzianych podczas wystawy teatralnej koncertów polskich w Wiedniu do których przygotowali się, poświęcając cały czas wolny podczas feryi, pozostając umyślnie w tym celu we Lwowie, mimo szalonych upałów. Wiele osób, a szczególnie panie, narażono tem także na znaczne straty pieniężne, gdyż przygotowania do podróży były w toku. Zarząd „Lutni" miał potem zamiar urządzić samoistną wycieczkę artystyczną do Wiednia, ale i ten projekt z rozmaitych powodów spełznął na niczem.

Szkoła śpiewu solowego, która po wyjeździe pani Ledererowej oddaną została w ręce pp. Paschalis Souvestre i szkoła śpiewu choralnego, prowadzona przez p. Niewiadomskiego, rozwinęły się bardzo pomyślnie i rokrocznie dostarczają dobrych śpiewaków. Zastęp „Lutni" składa się z 102 członków czynnych. Członków wspierających wykazuje sprawozdanie 230. Podobnie jak w latach ubiegłych spełniło Towarzystwo ściśle swoje zobowiązania w obec członków wspierających przez wykonanie czterech koncertów. Prócz wykonania jednak tych obowiązkowych produkcyi brało Towarzystwo czynny udział w koncertach, wieczorkach i wycieczkach urządzanych bądź na cele dobroczynne, bądź przy sposobności obchodów narodowych. Ogółem było tych produkcyi 49.

Towarzystwo politechniczne we Lwowie zamknęło swój bilans za rok ubiegły. W chwili zamknięcia roku administracyjnego liczy towarzystwo 182 członków zwyczajnych i 2 honorowych.

Wystawa przemysłu budowlanego, odbyta we wrześniu zeszłego roku we Lwowie, zawdzięcza swój początek Towarzystwu politechnicznemu, a dzięki niezmordowanej energii komitetu, obok niezaprzeczonych moralnych korzyści, osiągnęło także niespodziewany wynik materyalny, który stanie się zawiązkiem funduszu dla dawno upragnionej budowy gmachu Towarzystwa politechnicznego. Jednocześnie wielu członków, tudzież grono przemysłowców, którzy brali udział w wystawie, zajisało na ten cel znaczne dary w gotówce i materyałach, dając tem dowód chwalebnej solidarności techników i przemysłowców.

Zapowiedziany na wrzesień zjazd polskich techników odroczony został na później z powodu niebezpieczeństwa cholery, które powstrzymało wielu techników z Królestwa i Księstwa.

We wszystkich pracach, tyczących się zawodu technickiego, Towarzystwo brało czynny udział; zaznaczyć należy szczególnie współudział w pracach ankiety, zwołanej przez Wydział krajowy celem ułożenia norm i warunków, pod któremi kraj mógłby udzielić poparcia kolejom lokalnym.

Towarzystwo urządziło szereg wycieczek naukowych i towarzyskich w sezonie letnim przy licznym współudziale członków. Zwiedzono wzorową fabrykę kafli p. Lewińskiego i Spółki, fabrykę dachówek tej samej firmy i fabrykę koców p. Knauera w Glincej. Odczytów naukowych w łonie Towarzystwa było 16.

Zarząd Koła pań Tow. „Szkoły ludowej" we Lwowie składa podziękowanie wszystkim ofiarodawcom, jakoteż tym, którzy gorliwością swą w propagowaniu idei Towarzystwa przyczynili się do pomnożenia jego funduszów. Mianowicie, wpłynęły do kasy „Koła" następujące datki: Składka na balu w Schodnicy (urządzonym dla wracających z Argentyny) za pośrednictwem p. Wacława Wolskiego 50 zł., składka przy śniadaniu przez p. Józefa Lenieckiego 6 zł., komitet jubileuszowy „Czytelni Akademickiej" we Lwowie 100 zł., składki zebrane przy różnych sposobnościach w Ameryce południowej przez pp.: dr. Zubera, Odrzywolskiego, Zeitlebena, Czerwińskiego i Liniela, a doręczone Towarzystwu przez p. dra Zubera 89 zł. 10 ct., p. Wolski Wacław wygrane w taroka 2 złr., tenże wygrane w karty 8 zł., p. Lilienowa Emma 10 zł., zebrane w wesołem towarzystwie (inicyator p. Józef Leniecki) przez p. Wacława Wolskiego 12 zł., za pośrednictwem administracyi *Kuryera lwowskiego* 16 zł.

W sprawie tapicerskiej otrzymaliśmy następujące pismo:

W numerze 62 *Przeglądu* z dnia 16 bm. w artykule p. t. „Mikroby i tapicerstwo we Lwowie" poddaje p. Rmi ostrej krytyce wyroby tapicerskie i wciąga w swą polemikę, szkodzącą całemu stanowi tapicerskiemu także handle zajmujące się sprzedażą takich wyrobów. Ponieważ p. Remi twierdzi, że i w pierwszorzędnych magazynach chrześcijańskich sprzedają lichy towar, robiony w warsztatach pokątnych i z najgorszego materyału, przeto musimy wręcz oświadczyć, że szanowny autor mija się z prawdą, gdyż nasze wyroby tapicerskie wykonywują się z najlepszego materyału i to od lat już z górą pięćdziesięciu w warsztatach zostających pod kierownictwem fachowych majstrów i pod naszym dozorem, o czem się każdej chwili naocznie przekonać może. *Weber i Kirschner, przedtem Fr. Kirschner.*

Z Krosna nam donoszą pod datą 16 marca: Notuję fakt niezmiernie doniosły dla przemysłu naftowego tutejszej okolicy. Wczoraj nastąpił w kopalni Stanisława Klobassy w Potoku koło Krosna szalony wybuch ropy z szybu o głębokości 557 metrów. Rozpylona ropa z gazem wybuchała z tej głębokości 20 met. ów. ponad powierzchnię ziemi. Wybuch trwa od 7 godziny rano do późna w nocy i trwa jeszcze dalej, wszelako z mniejszą już siłą. Wyrzuciło ogółem w pierwszym dniu około 500 baryłek ropy, co się równa wartości 3.00 zł. Jest to wypadek niezmiernie rzadki i zdaje się, że zadecyduje o kopalni w Potoku. Wiadomo, że w lecie zeszłego roku kopalnia ta była największą w Galicyi i pod względem obfitości ropy nie miała sobie równej; ku jesieni jednak produkcya jej osłabła, a pod zimę podupadła całkiem i nie miano nadziei dalszego powodzenia. Teraz na nowo zaczyna się ożywiony ruch w Potoku, tem bardziej, że p. Marya Klobassowa rozpoczyna także nowy szyb, a u hr. Grabowskiego dziś jutro pokaże się ropa. Z powodu wypadku wczorajszego zjechało się do Potoka mnóstwo okolicznych nafciarzy. Dodać trzeba, że szyb, który wyrzucał ze siebie tak olbrzymią ilość ropy, wywiercony został przez inżyniera Adama Szymberskiego.

W sobotę dnia 11 bm. odbył się w Jaśle w hotelu Krakowskim, zjazd okolicznych inżynierów kierowników kopalń nafty. Zebrało się ich przeszło trzydziestu. Uchwalono założyć Towarzystwo na wzór Towarzystw wzajemnej pomocy i wydawać własne fachowe pismo. Postanowiono także między innemi dążyć do zreorganizowania obecnej szkoły wiertaczy w Bóbrce. Szkoła ta przyjmuje uczniów, umiejących zaledwie czytać i pisać, i w przeciągu trzech miesięcy wykształca ich na praktycznych wiertaczy ze szkodą skończonych techników, którzy odbyli trzyletni kurs w akademii górniczej w Leoben, a ogółem jedenaście lat kształcić się musieli na to, aby potem stać na równi z ludźmi posiadającymi zaledwie elementarne wykształcenie i niedostateczne wiadomości zawodowe. Po tych obradach odbyła się wspólna kolacya. *H.*

Z Brzozowa nam piszą:

Próbujemy wszelkiemi siłami wydobyć się z pod nieproszonej opieki obcych żywiołów i Bóg błogosławi naszej pracy. A że usiłowania nasze nie idą na marne, przyczynia się do tego niemało inteligencya tutejszego ludu, który raz tylko potrzeba dźwignąć z zaniedbania, aby zeń stworzyć zdrowy czynnik społeczny.

We wsi Wesołej istniała od dawna czytelnia ludowa, włościanie mieli dużo teoretycznych wiadomości, ale Kółko rolnicze było w zastoju, a sklepik chrześcijański wskutek bankructwa w prywatnych rękach. W takich stosunkach przybył na parafię w Wesołej ks. wikary Owoc i rozpoczął naprawę popsutych we wsi stosunków. Do 3 miesięcy w r. 1892 zawiązała się spółkowa kasa pożyczek i oszczędności systemu Raiffeisena, a 130 członków przystąpiło z wkładką i udziałem. Spółka po jakimś czasie nabyła na publicznej licytacyi prawo propinacyi i wystawiła 2 gospody chrześcijańskie na Baryczy i na Ujazdach, w Wesołej zaś założyła główną, ze składem przekształconą ze starego budynku szkolnego, w którego miejsce zbudowano we własnem przedsiębiorstwie nową, wygodniejszą szkołę w przeciągu kilku miesięcy. Osobna spółka handlowa zajmuje się skupowaniem produktów wiejskich i wysyła je do Rzeszowa na sprzedaż.

Pożytek z tego ruchu, zainicyowanego przez księdza Owoca, jest widoczny. Budzi się z uśpienia zdrowy rozum chłopski, stowarzyszeni nawykają do porządku i oszczędności, czują coraz bardziej potrzebę wzajemnej spójni. W gospodzie chrześcijańskiej wszystko dąży do tego, aby nie było pijaństwa: krzyż i obrazy święty h zawieszone na ścianach, obecność księdza czasem i pisemka ludowe. Posypały się jednak rozmaite skargi na ks. Owoca do biskupa, do namiestnictwa, do starostwa, do sądu, do Wydziału krajowego, do prokuratoryi. Wnosili je żydzi, zagrożeni w swoich pozycyach. Nie zrobiły mu nic złego, bo były kłamliwe. Może ta relacya będzie zachętą dla innych.

Z Jasła piszą nam: W dniu 12 b. m. odbył się w naszem mieście koncert na rzecz funduszu budowy kaplicy gimnazyalnej. Wynik koncertu był świetnym, a program lśnił prawdziwymi klejnotami muzyki. Większą część koncertu wypełniły produkcyami chóry mięszane z akompaniamentem orkiestry, liczące do 40 osób i wywiązały się ze swego zadania tak pięknie, że chyba w stolicy tylko możnaby znaleść lepszy i więcej wyćwiczony chór. Publiczność umiała ocenić pracę dyrygenta i chóru, nagradzając ich frenetycznymi oklaskami.

Piękny, zainicyowany przed 2 laty, zamiar budowy kaplicy gimnazyalnej, będzie dzięki koncertowi temu o jeden krok dalej posunięty, dochód bowiem (brutto) wynosi około 240 złr., a przyniósłby i 300 gdyby nie brak miejsca w stosunkowo małej sali.

Cena ziemi w Galicyi wzrasta ostatniemi laty niesłychanie tak, że dziś równa się już cenom praktykowanym w krajach przeludnionych, w których kilkanaście lat temu płacono za ziemię dwa i trzy razy drożej, aniżeli u nas.

Oto dzienniki wiedeńskie donoszą, że marszałek krajowy Szląska br. Henryk Larisch-Moennich nabył klucz Schoenhof z Bartelsdorfem, Ober-Dattin i Wentzlowitz i zapłacił zań 750,000 złr. Dobra te prócz wspaniałego zamku i budynków gospodarskich, jakich w naszym kraju może nie znajdzie, składają się z 726 hektarów roli, 161 hektarów łąk, 23 hektarów pastwisk i 818 hektarów lasu w jednym rewirze. Razem zatem mają te dobra 1733 hektarów, czyli 3011 morgów, a zatem za morg wypada niespełna 250 złr. U nas, jak wiemy, płacą nieraz po 300 złr. za morg i wyżej.

W Chicago zawiązało się „Towarzystwo patryotyczno-naukowe młodzieży polskiej". Ma ono na celu walczyć przeciw wynaradawianiu się Polaków urodzonych w Ameryce. Ducha polskiego szerzyć będzie zapomocą odczytów, wypożyczania książek, urządzania czytelń, zebrań towarzyskich i t. p.

Nieszczęśliwe wypadki. W gorzelni w Rudzwianach koło Strussowa należącej do Markusa Sommersteina pękł miedziany kocioł brażny i eksplodował tak silnie w górę, że kawałki z niego przełamały powałę i dach i rozleciały się w powietrzu na wszystkie strony. Wskutek tej eksplozyi spadające belki i walące się mury zraniły niebezpiecznie pięciu robotników.

Drugi wypadek eksplozyi zdarzył się w gorzelni p. Boguckiego w Kluwińcach koło Chorostkowa. Pękł tam podczas gotowania kartofel parnik Henzego, w ten sposób, że dno górne zostało oderwano od parnika i przebiwszy dach, wyleciało w powietrze. Parnik zaś sam spadł na dół z tak gwałtowną siłą, iż zarył się swym konusem w kieracie przeszło na jeden metr w ziemię. Z ludzi na szczęście nikt nie poniósł szwanku.

Z Łańcuta donoszą nam:

W zeszłą niedzielę odbyło się walne zgromadzenie tutejszego Towarzystwa gimnastycznego „Sokół". W skład nowego wydziału weszli: jako prezes dr. Walenty Szpunar, jego zastępca F. Kahane, dyrektor W. Żukliński, zastępca M. Dulęba, skarbnik L. Kuchar, sekretarz A. Bażok, zastępca sekretarza J. Załucki, gospodarz W. Krzyżanowski, zastępca gospodarza G. Bałuński, B. Dzięciołowski i K. Zauderer.

Uchwalono także przystąpić do Związku polskich Towarzystw gimnastycznych sokolich. Uchwalono dalej, by w lokalu Sokoła i w innych tutejszych więcej uczęszczanych publicznych lokalach pomieszczono skarbonki na dobrowolne pomniejsze datki na budowę własnego domu Sokoła; wkońcu, ażeby w lokalu Sokoła między druhami nie używano wyrazu „pan", lecz „druh", pod karą 1 ct. również na powyższy cel składaną.

Od nadobnych naszych Sokolic: Amalii Stachowskiej, Barbary Richter i Heleny Richter, otrzymało Towarzystwo wspaniałą szarfę dla chorążego, za którąto piękny dar składamy im publiczne podziękowanie.

Z Dunajowa nam piszą:

Radośnie powitaną została przez ludność miasteczka i okolicy upragniona wiadomość, że Rada powiatowa w Przemyślanach, rozpisała konkurs na posadę okręgowego lekarza z siedzibą w Dunajowie, ewentualnie w Hanaczowie, gdyby na Dunajów nie zgłosili się kompetenci. Że okolica Dunajowa pod względem opieki lekarskiej bardzo jest upośledzoną nie da się zaprzeczyć, gdyż w trzymilowym okręgu nie ma nietylko lekarza, ale w dodatku okolica ta nie posiada gościńca bitego, aby szczególnie z wiosną, lub jesienią, o 3 mile ze Złoczowa, Brzeżan, lub Przemyślan lekarza sprowadzić można, przeto przy często pojawiających się chorobach nagminnych, szczególnie ludność biedniejsza zdaną jest na wolę Bożą, zamożniejsi zaś tylko z ofiarą niezwykłych kosztów postarać się mogą o pomoc lekarską. Gmina Dunajów poczuwając się do obowiązku uczynienia warunków sanitarnych w miasteczku i okolicy znośniejszemi, powzięła w dniu 10 marca uchwałę, że lekarzowi, który osiędzie w Dunajowie, do płacy rocznej, przyznanej przez Radę powiatową w Przemyślanach, a wynoszącej około 800 złr., dopłacać będzie corocznie z kasy gminnej 100 złr. i odda dochody z oględzin, które w miasteczku, gdzie się corocznie jarmarki odbywają, kilkadziesiąt złr. wynoszą. O pomieszkanie odpowiednie i opał trudności nie będzie żadnych, a praktyka obszerna jest niewątpliwą, gdyż ludność okolicy jest dość gęstą, a w miasteczkach najbliższych, jak w Pomorzanach i Narajowie nie ma lekarza. Sądzimy, że na Dunajów znajdą się kompetenci, gdyż warunki bytu dla lekarza tu daleko korzystniej się p... jak w Hanaczowie: a to tem pewniej, że w samym Hanaczowie jest już lekarz s... osiedlony, ale w pobliżu tej wioski, jak w Przemyślanach i Glinianach znajduje się kilku lek...

Nowy kościół w Zakopanem. Na skutek odezwy komitetu kościelnego w Zakopanem w sprawie budowy nowego kościoła nadesłały ofiary następujące osoby:

B. Misiągiewicz z Tuchowa i Rybak ze Stry... po 1 zł., Sz. Piechowicz urzędnik kolejowy ze Stanisławowa, Nusia i Ewusia Haller z Jurczyc, J. Szflarski, ks. Wł. Ciechanowicz z Wielowsi po 3 zł., B. Dębowski z Zakopanego i J. Mahajczyk gosp... z Chochołowa po 4 zł., R. Wittig z Harklowej, L. ... z Zarzecza i J. Syroczyńska z Krakowa prosz... Serca Jezusowego o pomoc po 5 zł., Lilpop Wan... z Zakopanego 10, J. Sieradzki z Zakopanego 13. Ogółem wpłynęło dotąd 60 zł.

Szlachetnym ofiarodawcom, których codziennie przy ołtarzu wspominam, niech Bóg stokrotnie zapłaci. *Ks. Kazimierz Kaszelewski.*

Legenda o miesiącu lutym. W Normandyi znaną jest bardzo ciekawa legenda o tem, dlaczego luty ma tylko 28 dni. Otóż — według owej legendy — luty w młodości swej grywał namiętnie w domino, a chociaż zawsze przegrywał, nigdy ulubionej tej gry nie porzucił. Razu jednego przegrawszy wszystkie pieniądze, które miał przy sobie, stanowił w końcu z towarzyszami swymi styczniem i marcem zagrać jeszcze ostatnią partyę. Niestety przegrał ją. Nic mając czem zapłacić długu, ustąpił każdemu z nich po jednym dniu.

Wskutek tego styczeń i marzec mają po ... dni a luty 28.

Klub pocztowy urządza we czwartek dnia ... bież. m. przedstawienie amatorskie w hotelu Żor... Program składa się z trzech jednoaktówek: „Ku... nek" Bałuckiego, „Przejście Wenery" i „Przegrany zakład". Początek o pół do 8 wieczorem. W antraktach przegrywać będzie orkiestra wojskowa.

Nudziarze. Jedno z pism naszych przynosi pod powyższym tytułem następujący artykuł:

Powstało niegdyś przysłowie o gościu, gorszym od Tatarzyna, pomimo, iż wtedy czas nie miał jeszcze takiej, jak obecnie wartości, a praca we wszystkich dziedzinach nie tętniła tak silnie, nie wymagała tak wielkiego i nieprzerwanego natężenia umysłu i mięśni. Więc też dzisiaj ataki armii nudziarzy wiele są silniejsze, niż dawniej.

Próżniak i pracownik łatwo się stykają na każdym kroku, a w salonach, na ulicy, w teatrze, sali koncertowej lub balowej, niepodobna w większości wypadków, z szat i innych oznak zewnętrznych rozróżnić rozleniwionego sybaryty od człowieka, który szuka wieczornej rozrywki po pracy dziesięcio-dwunastogodzinnej.

Nietylko wszakże z kategoryi sytych próżniaków rekrutują się nudziarze. Spośród ich znaleźć można we wszelkich odłamach pracy, mniej lub więcej systematycznej, przeważnie machinalnej, kończącej się w stale określonych porach dnia.

Otóż ludzie tacy, po za czynnością obowiązkową, nie mają nic, coby nęciło ich umysł do skupienia. Jeżeli nie mogą zapełnić resztę dnia książką, teatrem, koncertem, albo... knajpą, idą do znajomych na pogawędkę, nie wnikając w to, jaki owi tryb życia prowadzą.

Goście tacy, obdarzeni pewną sumą drażliwości, łatwo odgadną z usposobienia i atmosfery gospodarza, iż jest zaprzątnięty jakąś ważną pracą, wymagającą spokoju i skupienia.

Większość atoli nie liczy się wcale z tymi względami. Ile na tem cierpi pracownik umysłowy (literat, profesor, prawnik i t. d.), ten tylko zrozumieć dobrze może, — kto doznał tortur przez gości w chwilach nieodpowiednich do przyjmowania wizyt.

Człowiek, dręczony częstemi odwiedzinami, z pewnem wzruszeniem zabiera się do pracy: „Oby kto nie przeszkodził!" — woła w duchu; — i gdy z całem namaszczeniem pochyla się nad biurkiem, głos dzwonka wstrząsa nim do głębi i najpiękniejsze myśli, mozolnie utkane, rozprasza.

„Wiem, że panu przeszkadzam, ale dużo czasu nie zabiorę, — na chwileczkę tylko" — zastrzega intruz.

Gospodarz przyjmuje go chłodno, z rezygnacyą odpowiada monosylabami i tęsknym wzrokiem ochłania pracę rozpoczętą. „Chwilka" się przewleka i gość, który innym razem mógłby być najprzyjemniejszym towarzyszem, staje się tyranem. Gdyby on wiedział, ile w tej chwili kipi goryczy i niechęci w duszy gospodarza, byłby go natychmiast pożegnał.

Względy towarzyskie nie zawsze pozwalają powiedzieć: „Panie, — miło mi będzie, — jeżeli dzisiejszą wizytę odłożysz na drugi raz". Gość, którego nie łączy zażyłość, śmiertelnieby się za to obraził.

Najniebezpieczniejszy jest taki nudziarz, który od progu woła: „Nie przerywaj swojej pracy, niech cię moja obecność nie krępuje, poczekam, póki skończysz".

Wobec takiego niezrozumienia procesów psychicznych, towarzyszących pracy umysłowej, pozostaje tylko odłożyć rękopis, albo książkę i bawić gościa. Gdyby tacy natrę i wiedzieli, ile wzrus...

---

119)

WIARUSY

POWIEŚĆ

WACŁAWA MASŁOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

— Ale wodzowie giaurów są w błędzie. Oni nie wiedzą, nie domyślają się, bo i któżby mógł się tego domyśleć, że nadludzkim wysiłkiem Tasz z kozackiej linii, a Achwerdi-Mahoma aż z Gruzyi razem tu zdążą i tak prędko! Każdego z nich osobno Olgerode-bej nie zdołałby zatrzymać, jakże zatrzyma obu razem!

— Razem trzech! — zawołał Tasz. — Pogrążon będzie w bystrych falach Kojsu! Biada mu!...

Achwerdi-Mahoma siedział nieruchomo, gładząc mleczną brodę. Szamil milczał chwilę, potem się zwrócił do Tasza:

— Sądzisz, że powinniśmy uderzyć na Olgerode-beja?

— Na Ałłacha! Zarazbym to uczynił! Niech następnej nocy już na wieki zaśnie! Giaura czuję blisko, — to we mnie krew burzy!

— A ja inaczej radzę, — odrzekł Szamil — niech Olgerode-bej czuwa nad Dargiem, ale ono będzie puste. Wyjdźmy stąd cicho, żeby on nic nie wiedział, i dążmy co tchu do Awaryi, jak kosą zetnijmy rozrzucone wojska Kluka i czołem stańmy do Muchrańskiego!

Tasz, słuchając tych słów, chmurzył się coraz bardziej, twarz jego drgała, w oczach czasami zapalały się błyskawice. Kręcił się na miejscu, lecz milczał, tylko czasami podnosił rękę do czoła i zaraz potem ciężko ją opuszczał. — Z pod długich rzęs spoglądał nań Achwerdi-Mahoma końcami oczu i drżącą dłonią coraz częściej przeciągał po brodzie.

Kiedy Szamil skończył, Tasz jeszcze chwilę walczył sam ze sobą, potem gwałtownie się zerwał i mieczem z całej siły uderzył o ziemię.

— Nie! — krzyknął chrapliwym głosem. — Nie! Nie! Pomagać Hamzad bekowi, tej podłej jaszczurce, tej zdradliwej gadzinie, tej jadowitej żmii — nie pójdę! Nie pójdę! Niech racze ten miecz na kawałki się roztrzaska!

I cisnął o ziemię swój ciężki, prosty, średniowieczny miecz.

— Przekleństwo Hamzadowi! — wrzasnął znowu — Niech go psy niewierne rozszarpią! To dla nich ścierwo i trucizna!

— Ale miurydztwo! — odezwał się miurszyd...

— Ach! Miurydztwo! — zawołał Tasz. — A co ono dało Czeczenom? Dziesiąty rok my, Czeczeni, oblewamy się krwawym znojem. Noga giaura jeszcze ni razu nie splamiła ziemi naszej. A kto jej bronił? My! A kto nam pomagał? Nikt! Więc cóż nam po miurydztwie zewnątrz naszego kraju? Iluż to ono dobrych rycerzy czeczeńskich wprawiło w sen wieczny, a co nam w zamian dało? Co?

Zaśmiał się szydersko, wstrząsnął ramionami i znowu mówił burzliwie:

— Co nam dało miurydztwo? Porachować łatwo! Na armatnią plunę nas zawsze wysławiano pierwszych, do podziału łupu wołano ostatnich, albo i nie wołano.

— Nie wołano i nas, — wtrącił Szamil.

— To się dopominajcie! Ja o sobie mówię.

— Dziwno mi, że mówisz!

— A to czemu? Żołnierz mój żyć musi, wojna ma go karmić. Oj, karmił-że go kazawat, tak karmił, że jeno żółta skóra wisi na kościach!

Odsapnął głośno i znów ciągnął:

— Ale ja to mówię tylko dla rachunku krzywd. Tej było niedość, gorszej się doczekałem: miurydzki imam chciał mię zamordować podstępnie! I cóż go za to spotkało, podłego zdrajcę? Nic! Imamem jest, jak był, chanem jest!...

— Myśmy go odstąpili, — zawołał Szamil.

— Na krótko! Znów chcecie zgiąć przed nim karki. Wolna wola! Ale mnie plwanoby w brodę, gdybym się tak poniżył.

— Niech i w nasze plują. Taka dola dzielnych, że czyniąc dobrze, źle słyną.

— Już nie mam wiary w miurydztwo — ciągnął Tasz. — Co to za wojna święta, w której wodzem nikczemnik, zdrajca, morderca prawowitych chanów, a sam samozwańczy chan, kat, oblany krwią zacną, muzułmańską, a tchórz w pierwszem spotkaniu z wrogami! Co to za wojna święta, w której prawo ginie, sprawiedliwość milczy! Co to za miurydztwo, w którem lud prosty idzie na agów, a agowie go dawnemu zowią lud poddańczuchami! Gdzież tu jest bractwo, o którem mówi samo słowo: miuryd? Nie, wasz kazawat mnie się wydaje złą swawolą zepsutych dzieciuchów; nie zacnym wysiłkiem narodu, który wolność rozumie i kocha ale gzikiem bujnych warchołów. Dziesięć lat, nie zaglądając prawie do Czeczni, przebyłem w różnych stronach Dagestanu i widzę, że coraz w nim gorzej. Gdzie mocne zameczki, dobre podpory w walce z giaurami? Zrównane z ziemią przez abreków, bo były chańskie. Gdzie bogate auły, spichlrze naszych wojsk? Szukajcie ich tam, gdzie smutne rumowiska zdala widne: jedno chanowie, inne miurydzi zburzyli. A dużoż przez ten czas stoczyliśmy bojów z giaurami? Śmiać mi się chce! Na palcach można policzyć i palców połowa zostanie!

Zamilkł i tamci długo milczeli, — wreszcie odezwał się miurszyd:

— Choćby to i prawdą było wszystko, co mówisz, nie teraz błędy wytykać, kiedy już nie ma odwrotu; nie teraz odstępować miurydztwa, gdy giaury z dwóch stron idą na Dagestan! Czemu-żeś tego nie mówił przed swą wyprawą na kozacką linię? Szukałeś giaurów w ich aułach, w ich domach, podniosłeś ich przeciw nam, a teraz się cofasz...

Zadrżał Tasz i pobladł. Miurszyd po chwili znów mówił:

— Imam srodze cię obraził...

— A! — zawołał Tasz i zaśmiał się dziko. — Przyznajesz!

— Słuszny twój gniew i zemsta byłaby sprawiedliwa. Lecz, cóż tam imam! Cóż to znaczy, że staniesz pod jego buńczukiem! Jest większy odeń wódz, — to Ałłach! Jest ważniejsza sprawa, niż bezpieczeństwo imamowej osoby, — to walka za wiarę! Są droższe rzeczy od zameczków i aułów, — to groby ojców, to wolność tej ziemi!

Tasz zgiął się jakby pod ogromnym ciężarem, rękami objął głowę i chwiejnym krokiem wyszedł na wewnętrzny ganek.

Pozostali mężowie spojrzeli na siebie. Achwerdi-Mahoma wstrząsnął się, jak gdyby napił się octu i rzekł:

— Ciężko stanąć pod imamowym buńczukiem! Wolałbym zginąć z ręki uruskiego ka... Stygnąca krew moja cała się od tego bur... więc się nie dziwię młodemu Taszowi. Ciężko, ciężko!

— I mnie nie lżej, — mruknął Szamil ponuro, patrząc w ziemię.

Potem wstrząsnął głową, ręką przeciągnął po twarzy i wyszedł.

W kilka chwil potem zbliżył się do baszty, w której byli jeńcy.

— Jest tu Chas-aga? — spytał, wpatrując się w ciemną głąb sieni.

— Jest! — odezwały się głosy. — Śpi.

— To go rozbudźcie, niech tu się zaraz stawi!

I cofnął się nieco od baszty. Wtedy z n..., tuż nad ziemią, prześliznął się cień jakiś i znikł między głazami. Był to Nachodka, który chciał podsłuchać rozmowę Szamila z Chasem. Ale w ciemności Szamil go nie spostrzegł.

Niebawem wyszedł Chas, ziewając głośno i przecierając kułakami oczy.

— A co tam? — wyrzekł niechętnie. Pali się?

— Zbierz wszystkie myśli i słuchaj! — odrzekł Szamil.

— Zbierać nie potrzebuję, bo na pastwisko ich nie wypędzam.

— Masz swych ludzi pod ręką?

— Pod ręką? Nie! Gdzieby się pod ręką zmieściły takie dryblasy! Mam ich za plecami, bo tam się mnie trzymają jak kurczęta kwoki.

(Ciąg dalszy nastąpi).

i niepokoju rodzi sama myśl o możliwości ich najścia; ile się często wybiegów używa dla zmylenia obecności.

Nie zawsze wystarcza obwieszczenie na drzwiach godzin przyjęcia, lub zapowiadanie służby, że się nikogo nie przyjmuje.

Przed nudziarzami takimi nie ma rogatek: „Tylko na chwilkę, w ważnym interesie!"

To jest przepustka, która pozwala im dotrzeć do samego biórka gospodarza.

Torturowany tym sposobem pracownik musi na reszcie zmieniać tryb życia, czuwać po nocach, bo w dzień tylko jest pewny, że praca jego, nieprzerywana odgłosem dzwonka i natarciem gości, będzie produkcyjna.

Owi nudziarze, bardzo mili i zacni ludzie w innych warunkach, wcale nie przypuszczają, że są w wielu wypadkach przyczyną rozstroju nerwowego i wyczerpania organizmu tych, do których przychodzą w porze niewłaściwej.

Jest to znamienna cecha, jeżeli się nie mylę, wyłącznie nasza.

Za granicą bowiem ludzie oddani poważnej pracy umysłowej, nigdy nie są napastowani przez gości lub interesantów w godzinach tak bardzo nieodpowiednich.

Ogół inteligencyi wnika bardziej niż u nas w tryb życia swych znajomych i jeżeli czasem mimowoli X przerwie pracę Y-owi, nie odczuje się za to, gdy się dowie, że jest w danej chwili gościem nie pożądanym.

U nas częstokroć z gorliwem przestrzeganiem artykułów kodeksu światowego idzie w parze wielka niedelikatność.

Przydałby się nam rzetelniejsza ocena czasu i pracy z wielką korzyścią dla ogółu ukształconego a bez uszczerbku łączności towarzyskiej.

Muchy a cholera. Nie bez przyczyny uznano muchy za najbardziej niebezpieczne owady w rozpowszechnianiu wszelkich zaraźliwych pierwiastków. Ponieważ badania naukowe wykazały, że zarodki choleryczne nie wytrzymują zbyt wysokiej temperatury, powstało więc wśród bakteryologów mniemanie, że zarodki te giną podczas lotu much i w ten sposób tracą charakter zarazków. Profesor hamburski Simmand pragnąc przekonać się, o ile mniemanie to opiera się na istocie rzeczy, rozpoczął robić doświadczenia. Przetrzymał przez pewien czas pięć much pod kloszem szklanym, pod który włożył także cząstki wnętrzności człowieka, zmarłego na cholerę. Następnie wpuścił muchy do retorty napełnionej zupełnie suchem powietrzem i w niej trzymał je bardzo długo. Wypuściwszy je z klosza, włożył każdą z nich osobno w szklaną rurkę, napełnioną żelatyną, którą potem wylał na krążki. W krótkim czasie zjawiła się na powierzchni wylanej żelatyny cała kolonia bakcylusów. Mikroorganizmy te znajdowały się pod kloszem w miejscu zupełnie suchem daleko dłużej, niżby to miało miejsce podczas przelotu much z miejsca lub rzeczy zarażonej cholerycznym jadem na mleko, cukier lub inne przedmioty, na które muchy tak chciwie siadają. Okazuje się z tego więc, iż fałszywem jest twierdzenie niektórych bakteryologów, jakoby podczas lotu much bakcyle wysuszały się i traciły swój charakter zarazków.

Z doświadczeń tych wyprowadził dr. Simmand następujący wniosek: „Ze wszystkich latających owadów, muchy są podczas epidemii cholerycznej najniebezpieczniejsze, a przecinki choleryczne, które muchy siadając na chorych cholerycznych, ich wydzieliny i odzież, zabierają na swe ssawki i łapki, nie tracą zgoła podczas lotu much charakteru zarazków; dlatego też jest rzeczą niezbędną utrzymywać wszelkie środki pożywienia w miejscach nieprzystępnych dla much. W celu zaś zapobieżenia, ażeby muchy nie roznosiły zarazków cholerycznych, trzeba skrzętnie ukrywać odzienie ludzi dotkniętych cholerą i przechowywać je w zamknięciu aż do czasu, w którym będą poddawane gruntownej dezynfekcyi. Trzeba nakoniec przestrzegać i tego, ażeby do pokoju przeznaczonego dla chorego nie dostawały się muchy."

Z Wieliczki donoszą nam: Potrzeba drenowania gruntów w celu poprawy kultury doznaje coraz więcej uznania między włościanami. Otóż to na prośbę Kółka rolniczego w Brzezowej, w naszym powiecie, Zarząd główny Kółek rolniczych we Lwowie odniósł się z prośbą do Wydziału krajowego o zaprojektowanie drenowania jednego morga gruntów włościańskich w gminie Brzezowa i tem zachęcenia włościan do poprawy gospodarstwa.

Uwzględniając powyższą prośbę, Wydział krajowy polecił inżynierowi-kierownikowi krakowskiej ekspozytury biura melioracyjnego p. Chrzyszczewskiemu, wypracować plan i kosztorys drenowania jednego morga roli. Po wygotowaniu planów poweźmie Wydział krajowy decyzyę co do ewentualnego wyjednania na ten cel subwencyi z państwowej i krajowej dotacyi melioracyjnej.

Z życia Verdiego. W roku 1866 zamieszkał Verdi na czas jakiś w Moncarlieri. Jeden z zażyłych przyjaciół, który go w tym czasie odwiedził, został mocno zdziwiony, widząc, iż znakomity kompozytor mieści się w jednym jedynym pokoju, służącym mu zarazem za pracownię, sypialnię i salon do przyjmowania odwiedzających. Verdi, wyczytawszy zdumienie w twarzy przyjaciela, odezwał się pierwszy: „Mam tu jeszcze dwa obszerne pokoje, ale te zapełnione są przedmiotami, które wynająłem na czas mego tu pobytu."

To mówiąc, otworzył drzwi a przyjaciel zobaczył wówczas, iż oba owe pokoje zapełnione są całą setką katarynek. „Gdym tu przybył — ciągnął dalej Verdi dla objaśnienia — poczęli się zbierać zewsząd kataryniarze, a ich serenady pod memi oknami trwały od rana do wieczora. Nie mogłem znieść tych ustawicznych aryi z „Rigoletta", „Trubadura" i „Traviaty", musiałem więc jakoś ratować się przeciwko temu najazdowi. Otóż na cały czas stagione wynająłem wszystkie kataryuki. Kosztuje mię to wprawdzie około 1500 lirów, ale teraz mam przynajmniej spokój do pracy."

Zmarli. Anna Girtlerówna, córka prof uniw. uczenica 2go kursu w seminaryum nauczycielskiem umarła w Krakowie, przeżywszy 17 lat.

Stan powietrza. Termometr + 2° Reaumura o godzinie 7 zrana, a w południe + 4° Reaum. Barometr 751. Spada.

Dzień wietrzny, zimny, od czasu do czasu pada śnieg, wiatr północno-wschodni.

Okoliczność łagodząca.

Sędzia: Co pan możesz przytoczyć w obronie swojej jako okoliczność łagodzącą?

Obwiniony: Za młodu pisywałem bardzo wiele wierszy lirycznych, ale n i g d y ż a d n e g o n i e o g ł o s i ł e m.

Do numeru dzisiejszego załączamy dla Szan. prenumeratorów na prowincyi „Przegląd mód dla dzieci," oraz cennik na rok 1893 firmy **Jul. Berger i Syn** we Lwowie, ul. Halicka l. 21.

Teatr. Dziś w sobotę (dnia 18go marca) w teatrze hrab. Skarbka o godzinie 7mej wieczorem po raz pierwszy: „Barbara Radziwiłłówna", opera w czterech aktach, a 6 odsłonach Henryka Jareckiego. — Jutro w niedzielę o godzinie 3 po południu: „Opowieści Hoffmanna", opera fantastyczna w 4 aktach a 5 obrazach Offenbacha. Wieczorem: po raz czwarty, przy oświetleniu elektrycznem, tak na scenie jak i w amfiteatrze: „Balladyna" tragedya w pięciu aktach Słowackiego. — W poniedziałek po raz pierwszy „Już go mam", komedya w trzech aktach Rysz. Ruszkowskiego.

Bilety zakupione na pierwsze trzy przedstawienia „Barbary Radziwiłłówny", ważne są na te trzy przedstawienia, bez względu na datę.

Literatura i Sztuka.

* **P. Zygmunt Przybylski**, autor „Wicka i Wacka" napisał nową jednoaktową komedyę p. t. „Bzy kwitną".

* **„Swiat"**. Zeszyt z 15 marca zawiera wspomnienie o zmarłym komedyopisarzu ś. p. Koziebrodzkim, wraz z portretem, kilkanaście udatnych ilustracyi a w tekście kilka nowych rzeczy, oprócz artykułów i powieści, których druk rozpoczął się w poprzednich numerach.

* **Z Akademii umiejętności**. Wydział matematyczno-przyrodniczy, odbył posiedzenie dnia 6 lutego, na którem p. E. Janczewski odczytał referat p. t. „Przyczynek do znajomości śniedzi zbożowej", pan Wierzejski referował o poszukiwaniach p. L. Adametza nad pochodzeniem bydła krajowego brunatnego, nakoniec zaś sekretarz odczytał referat pana Olszewskiego, z pracy J. Schramma „O działalności chlorku glinowego na chlorki i bromki rodników aromatycznych".

Część ekonomiczna.

Wiedeń 16 marca.

(Z). Zapędy spekulacyi naszej mają już naprawdę awanturniczy charakter. Skoki kursów o 5 lub 10 zł. w ciągu jednej godziny są na porządku dziennym. Szczęście prawdziwe, że zagraniczne targi nie przyłączają się do tego usposobienia naszej giełdy, bo w takim razie kursa zaszłyby tak daleko, że pewnego pięknego poranku runęłyby od razu o kilkanaście lub nawet kilkadziesiąt reńskich w dół. Zagraniczne targi nie stawiają wprawdzie zasadniczej opozycyi, ale od czasu do czasu rzucą wielkie partye naszych walorów na sprzedaż, co działa na chwilę otrzeźwiająco na naszą spekulacyę. Nieokiełznany prąd zwyżkowy na naszym targu przypisać należy w pierwszej linii finansistom peszteńskim, którzy zapamiętale spekulują w walorach bankowych i przemysłowych. Dziś n. p. forsowali oni akcye Rima-Murańskie w górę i wyśrubowali je o 6 zł., od stycznia do dziś poszły te akcye o 33 zł. w górę.

Wytrawni finansiści utrzymują, że ta dzika spekulacya, jaka się obecnie odbywa, ma jedynie na celu obniżenie stopy procentowej w Austryi. Dla tego to idą w górę tylko te walory, które przynoszą 5 prc. albo wyżej; renty, których dochód zbliżony jest już do 4 prc., leżą zupełnie odłogiem.

Z Berlina donoszą, że popyt o nową pożyczkę galicyjską był tam bardzo wielki. Kurs emisyjny tej pożyczki wynosił 94, na giełdzie berlińskiej jednak płacono za nią dziś już po 94½.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 350·—, węgierskie 408·75, Anglobanki 157·75. Uniony 258·—, Bankvereiny 125·80, Länderbanki 246·—, Ludwiki 219·—, Czerniowieckie 260·—, Renta papierowa 98·85, srebrna 98·60, austryacka złota 117·05, 4% austr. renta wal. kor. 96·75, węgierska złota 115·75, 4% węgierska renta wal. kor. 95.50, dukat 5·71. 20-frankówka 9·63½, marki 11·87—, ruble 1·27¼.

§ **Przegląd targu zbożowego.** (Sprawozdanie banku rolniczego). Lwów 18 marca.

Tendencya słaba — na zboże popyt mniejsze. Produkta olejne poszukiwane.

Dziś notujemy za 100 kilogramów loco Lwów: Pszenica gotowa 7·50—7·75, Żyto gotowe 5·90—6·15 Owies obroczny 5·30—5·75, Jęczmień 4.50—5·50, Rzepak 11.00—11·50, Groch 5·50—10.00, Wyka 4·75—5·25, Bobik 5·00—5·50, Hreczka 7·00—7·75, Kukurudza stara 5.50—5 85, Kukurudza nowa 4·80 do 5·15, Chmiel za 56 kilo 00·00—00·00, Koniczyna czerwona 60.00—75.—, Koniczyna biała 65·—85 —, Koniczyna szwedzka 65·00—85.00. Spirytus za 10.000 litr. proc. loco stacye kolei 11·00—11·25.

Telegramy „Przeglądu".

Wiedeń 18 marca. Izba posłów przyjęła jednogłośnie wniosek p. Plenera o przyznanie drowi Smolce dotacyi honorowej 7200 zł. rocznie. Mówcy wszystkich stronnictw oddawali hołd zasługom Smolki. Przemawiali hr. Hohenwarth, p. Engel imieniem młodoczechów, p. Jaworski, Lienbacher, dr. Lueger, hr. Dubsky, Romańczuk i p. Steinwender imieniem narodowców niemieckich. P. Steinwender przemówił w te słowa: „Imieniem mego stronnictwa przyłączam się całem sercem do wyrazów hołdu i sympatyi dla Smolki. Podnosimy z radością, że z pożegnalnego pisma ustępującego prezydenta, nie przebija choćby najmniejszy ton jakiego żalu do kogo, a jedynie dobroć i miłość, którą zawsze miłością staraliśmy się mu odwzajemnić, owemu mężowi o niepospolitym charakterze, jedynemu w swoim rodzaju.

„Smolka jest mężem, który udowodnił, że prawdziwie wolnościowe poglądy i z wiekiem się nie starzeją, że można zachować wierność swym przekonaniom, a mimo to pełnić urząd bezstronnie, że można być wiernym swemu narodowi, a mimo to działać dla dobra państwa. Smolka udowodnił — i to właśnie dziś — że są chwile, gdy stronnictwa nie istnieją, a wszystkich jedno ogarnia uczucie.

„Smolka jest mężem wyjątkowym, to też przeznaczonem mu było wyjątkowo szczęśliwe rozstanie z nami.

„Przyłączając się do wniosku Plenera, niech mi będzie wolno postawić wniosek: Wysoka Izba raczy uchwalić: Biust Smolki należy ustawić w kolumnadzie parlamentu (żywe oklaski). Nie chcemy rozstać się z nim zupełnie, pragniemy, by obraz jego między nami pozostał." (Huczne oklaski).

Wniosek ten przyjęto jednogłośnie.

Na stole prezydyalnym złożono artystycznie wykonany adres do Smolki. Podpisali go wszyscy ministrowie i deputowani.

Koło polskie wysłało do bawiącego we Lwowie dr. Smolki następujący telegram: „Koło polskie jednogłośną uchwałą wyraża najżywsze ubolewanie z powodu złożenia przez Ciebie godności prezydenta Izby i mandatu poselskiego, widząc w tem stratę znakomitego członka Koła polskiego, który przez pół wieku godnie piastując najwyższe stanowisko parlamentarne zaszczyt przynosił imieniowi polskiemu. Do słów najserdeczniejszego pożegnania dołącza Koło podziękowanie za tyloletnią niestrudzoną patryotyczną pracę. Prezes Koła. *Jaworski.* Sekretarze *Łoś* i *Lewicki.*"

Budapeszt 18 marca. Na wczorajszem posiedzeniu sejmu prezes ministrów p. Weckerle oświadczył, że wcale nie myśli recepcyi religii żydowskiej czynić zależną od jakiegokolwiek warunku, gdyż nauki religii żydowskiej znane są wszystkim od dawna. P. Weckerle życzyłby sobie tylko, żeby żydzi pozostali nadal wiernymi prawdziwie węgierskiemu kierunkowi, w którym obecnie postępują.

Nadto oświadczył p. Weckerle, że rząd obecny uważa przeprowadzenie kościelno-politycznego programu za *conditio sine qua non* swego istnienia.

Sejm przyjął tytuł „zarząd centralny budżetu wyznań", tudzież wniosek Fenivessyego domagający się jak najrychlejszego wprowadzenia w życie autonomii katolików.

Berlin 18 marca. W parlamencie niemieckim konserwatyści Friesen, Hammerstein i Mehnert postawili wniosek, podpisany przez trzydziestu posłów konserwatywnych, a wzywający rząd do wniesienia projektu ustawy zabraniającej żydom, niebędącym już obecnie poddanymi państwa niemieckiego, osiedlania się w Niemczech.

Sofia 18 marca. Wczoraj rozpoczął się tu proces przeciw Ilii Georgiewowi, który był intelektualnym spólnikiem morderstwa ministra Belczewa i sprzysiężenia na życie księcia Ferdynanda i Stambułowa. Georgiew po morderstwie Belczewa uciekł był z Bułgaryi, został jednak niedawno w Niemczech schwytany i wydany Bułgaryi. Do rozprawy powołano 22 świadków.

Wiedeń 18 marca. Izba posłów rozpoczęła wczoraj obrady nad ustawą finansową, tudzież nad przyznaniem nadzwyczajnego wsparcia urzędnikom państwowym.

Przemawiali pp. Pacak, Thurnherr, Schlesinger, Kulp, Vaszaty, Scharschmidt.

Pacak oświadczył, że ugoda między Czechami a Niemcami możliwą jest tylko na podstawie uznania czeskiego prawa państwowego. Scharschmid odpowiedział, że Niemcy i Czesi mogą się zejść na gruncie ustaw zasadniczych, ale nie prawa państwowego. W dalszym ciągu swej mowy bronił Scharschmidt liberałów niemieckich przeciw zarzutowi niereligijności i występował energicznie przeciw antysemityzmowi. P. Thurnherr domagał się święcenia niedzieli, a p. Vaszaty wzywał Austryę, aby się rozbroiła i zawarła przymierze z Rosyą. Na tem przerwano obrady.

Na posiedzeniu wieczornem toczyła się dalej debata jeneralna nad ustawą przeciw fałszowaniu środków żywności.

Antysemita Hauck oświadczył, że w zasadzie zgadza się na tę ustawę, ale żąda zaostrzenia postanowień karnych.

Reprezentant rządu szef sekcyi Plappat, uzasadniał szczegółowo przedłożenie ugodowe i odpierał podnoszone w komisyi zarzuty autonomiczne, że przez uchwalenie tej ustawy, ścieśni się samoistny zakres działania gmin.

Imieniem Koła polskiego przemawiał p. Eugeniusz Abrahamowicz i oświadczył, że Koło wita sympatycznie tę ustawę, ale stanowisko swe czyni zależnem od uwzględnienia jego autonomicznych zapatrywań. Koło żąda, aby judykaturę w sprawach odnoszących się do fałszowania środków żywności oddano sądom. Koło zastrzega się przeciw upoważnieniu rządu do dowolnego kreowania organów nadzorczych, bo zbytnim nadzorem można zabić produkcyę. Do wykonania tej ustawy wystarczą dzisiejsze organa władzy politycznej przy współdziałaniu organów autonomicznych. O kwalifikacyi organów autonomicznych winno rozstrzygać tylko ustawodawstwo krajowe.

Na tem przerwano obrady.

Minister oświaty wniósł projekt ustawy udzielającej rządowi funduszów potrzebnych na budowę nowego pawilonu kliniki chirurgicznej w Wiedniu.

W końcu postawił młodoczech Slawik wniosek o zaprowadzenie powszechnego głosowania i podwyższenie liczby posłów na 400. Wedle tego wniosku wybierałyby Czechy 98 posłów, Morawa 38, Szląsk 10, Galicya 110, Bukowina 11, Dalmacya 9, Istrya 5, Tryjest 3, Gorycya i Gradyska 4, Kraina 8 itd.

Następne posiedzenie odbędzie się dziś.

Wiedeń 18 marca. W toku debaty nad wnioskiem p. Plenera o przyznanie dr. Smolce dożywotniej dotacyi honorowej, przemówił p. Jaworski imieniem Koła polskiego w te słowa: „Te same motywa, które przytoczył p. Plener i hr. Hohenwarth skłaniają i nas do głosowania za tym wnioskiem i za jego nagłością. Z łatwo zrozumiałych przyczyn musimy my Polacy przy traktowaniu tego wniosku zachować się z pewną rezerwą. Nie potrzebuję zapewniać panów, że dotacyę uchwalić się mającą drowi Smolce popieramy nie dlatego, że dr. Smolka jest naszym rodakiem, ale dla tego, że idzie tu o uczczenie wielce zasłużonego, sędziwego prezydenta naszej izby. Nie idzie tu jedynie o zapewnienie prezydentowi spokojnej wolnej od trosk starości, odpowiadającej jego wysokiemu stanowisku, ale raczej o wyrażenie czci i hołdu mężowi, który był pionierem parlamentaryzmu, który przez pół wieku w życiu politycznem zajmował wybitne stanowisko, mężowi skromnemu, bezinteresownemu, którego tak wszyscy kochamy i poważamy. Dowód tej miłości i szacunku składamy mu nie w formie prezentu, lecz jako dotacyę honorową, zaszczytną zarówno dla tego, który ją otrzymał jak i dla tych, którzy ją ofiarowali. My, Polacy, jako odłam parlamentu, przyłączamy się całem sercem do tej owacyi dla naszego sędziwego Smolki". (Huczne oklaski w całej izbie).

Paryż 18 marca. Obrońca Lessepsa, adwokat Barboux, ukończył wczoraj swe przemówienie i apelował do sumienia sędziów przysięgłych. Sumienie powinno im podyktować taki werdykt, któryby przywrócił świetność sławnego, a dziś tak sponiewieranego nazwiska.

Prezydent senatu Juliusz Ferry umarł wczoraj nagle na udar sercowy.

Berlin 18 marca. Komisya wojskowa odrzuciła w drugiem czytaniu projekt reformy wojskowej. W toku debaty odpierał kanclerz Caprivi zarzut, jakoby wszelkie układy z dzisiejszym rządem były niemożliwe. Dalej oświadczył Caprivi, że ma to niezłomne przekonanie, iż opędzenie kosztów projektowanej reformy jest rzeczą możliwą. Broni też kanclerz z głębi przekonania tego przedłożenia, a nie sądzi, aby mógł wybuchnąć konflikt ze stronnictwem liberalnem, gdyż idzie tu o bezpieczeństwo ojczyzny.

Bennigsen oświadczył, że nie traci nadziei, iż przyjdzie do porozumienia w tej sprawie, jeżeli nie z tym, to z innym parlamentem. Jeżeli jednak kanclerz obstawać będzie przy tem odpornem stanowisku, które zajął przedwczoraj, to z obecnym parlamentem porozumienie jest wykluczone. Nadto oświadczył Bennigsen, że nie jest rzeczą wskazaną obecnie rozwiązywać parlamentu, gdyż otworzyłoby się przez to na oścież wrota demagogii.

Następne posiedzenie komisyi, na którem odczytane zostanie pisemne sprawozdanie, odbędzie się między 14 a 17 kwietnia.

Paryż 18 marca. Wiadomość o śmierci Ferry'ego wywarła tak samo wielkie wrażenie, jak owego czasu wiadomość o nagłej śmierci Gambetty. Ferry był chorym już we środę. We czwartek w nocy miał gorączkę i czuł się mocno chorym. Po zastrzyknięciu morfiny nastąpiło polepszenie, ale wczoraj o godzinie 10ej przed południem znów nastąpiła trudność w oddechaniu i Ferry skonał. Ostatniemi jego słowami była prośba: „ratujcie mnie." W książce kondolencyjnej, wyłożonej w loży portyera, podpisało się tysiące najwybitniejszych osób, a między innymi jenerał Borius, reprezentant Carnota, senatorowie i liczni deputowani.

Wiedeń 18 marca. Na dzisiejszem posiedzeniu Izby posłów zawiadomił rząd, że Najj. Pan sankcyonował uchwały Izby, ogłaszające komisyę podatkową i przemysłową nieustającemi. Izba odstąpiła rządowi do uwzględnienia wiele petycyi o zasiłki już to z powodu powodzi, już też z powodu gradów, między niemi petycyę gminy Kałusza. Następnie podjęto dalej debatę nad ustawą finansową. Wszyscy mówcy zapisani do głosu pro wykreślili się z listy mówców.

Przyjechali do Lwowa

dnia 18 marca 1893.

HOTEL FRANCUSKI. Hrabia K. Dzieduszycki z Martynowa. S Skarzyński ze Studzianki. W. Błażowski z Drohobycza. A. Noel z Sosolówki. J. Scharf z Bielska. W. Bormann z Berlina. H. Wachter z Landsberga. A. Opél z Wiednia.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie za nią żadnej odpowiedzialności.

Telegram giełdowy.

Wiedeń dnia 18. Marca godz. 2. min. —.

Akcye kred.	351·85	Gal. oblig. propinacyjne	96·80
Alpiny	59·60	Wied. losy	179·50
Kredyty węg.	409·50	Akcye tyton.	181·—
Anglobanki	158·30	Austr. renta p.	96·85
Uniony	260·—	Elbethale	244·—
Ludwiki	219·50	Länderbanki	245·—
Nordbany	295·25	Renta zł. węg.	115·85
Lombardy	109·10	Bankvereiny	127·30
Losy tureckie	50·60	Węg. renta p.	95·35
Staatsbahny	313·—	Ruble	128·—
Czerniowieckie	260·—		

Usposobienie chwiejne.

Odpowiedzialny redaktor: **Wacław Masłowski.** Papier braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. — Zarządzca: Walenty Hodak.